Nr. 49. We Lwowie dnia 4. Grudnia 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysloucha.

Studja socjalne w Niemczech.

Walka teoretyków z praktykami życia ludzkiego należy do powszechnych i stałych zjawisk, czy to w dziedzinie przemysłu i handlu, czy to w dziedzinie polityki i ekonomji społecznej. Narody jednak współczesne nie lekceważą postępów badań, jak również uczeni trzymają się blisko potrzeb i warunków doby bieżącej. Jeśli spojrzymy na olbrzymi rozwój polityczny oraz handlowy i przemysłowy dzisiejszych Niemiec, to równocześnie uderzy nas ścisła spójnia tego życia praktycznego z zagadnieniami teoretycznemi, jakie bada i opracowuje niemiecka nauka. Uniwersytety są tutaj istotnie owymi ośrodkami mózgowymi, w których zbiegają się i krzyżują wszystkie najróżnorodniejsze interesy i zagadnienia życia bieżącej doby.

Jestto bardzo wielką zasługą życia umysłowego w Niemczech — ta wspólność i jedno tętno, bijące w społeczeństwie od najniższych jego warstw pracujących, aż do najwyższych centrów i organów umysłowości. Patrząc się z tego stanowiska na uniwersytety nasze, doprawdy otrzymuje się smutne wrażenie, jakoby to były zakłady wychowawcze dla różnorodnych kategorji urzędników lub specjalistów.

Słaba fala życia współczesnego, jego walk oraz interesów nie dochodzi tutaj, albo odbija się jakimś echem po wielu dziesiątkach lat. I to jeszcze trzeba dodać na niekorzyść naszych wszechnic, iż drobne interesa prowincjonalne nie mogą służyć za podstawę ich rozwoju, a tymczasem szeroki strumień życia całego narodu skierować się tutaj nie daje.

Stąd też ta m odzież galicyjska taka anemiczna, taka typowo bezbarwna i jednostajna. Wina to nizkiego poziomu interesów, które rozbudza nauka w uniwersytecie.

Jednym z najwydatniejszych objawów tego dążenia, aby nauka czyniła jak najwięcej zadosyć wymogom chwili bieżącej, są studja socjalne otworzone prawie we wszystkich uniwersytetach w Niemczech. Wykładane są tutaj wszystkie umiejętności, które oświetlają rozwój życia bieżącego. W pierwszym rzędzie należy do nich ekonomja społeczna, a dalej polityka ekonomiczna czyli praktyczne zastosowanie wskazówek teorji gospodarstwa narodowego. W ramach tej praktycznej ekonomji narodowej objęte są wszelkie zagadnienia, dotyczące polityki agrarnej, jak i polityki przemysłowej oraz handlowej. Wreszcie zagadnienia najbardziej palące dzisiejszej doby, kwestje społeczne traktuje naukowo polityka socjalna. Omawia ona wszystkie środki, podjęte do dnia dzisiejszego w celu zwalczenia nędzy materjalnej, usunięcia ciemnoty umysłowej, zabezpieczenia życia robotników na wypadek kalectwa i na starość.

Nie potrzeba chyba dodawać, iż do zrozumienia tych zagadnień i ich rozstrzygnięcia niezbędną jest znajomość urządzeń prawnych w społeczeństwie, jego historji etc. etc.

Między zagadnieniami bowiem historycznemi a problematami teraźniejszości istnieje silna łączność, podobnież jak w życiu między jego zjawiskami istnieje ciągłość nieprzerwana. Stąd też w seminarjach naukowych jednego dnia słyszymy rozbiór źródeł średniowiecznych innym znów razem krytykę podatku dochodowego w dobie bieżącej z ust jednego i tegosamego profesora.

Takie badanie zjawisk społecznych daje możność ludziom umysłowo pracującym bezpośrednio stykać się z życiem. Weźmy jakikolwiek referat, dotyczący przemysłu naprzykład drobnego. Czy autor może ograniczyć się jedynie i wyłącznie na tem, co podają urzędowe tablice statystyczne. Nie, przeciwnie: niemal cała wartość jego pracy musi polegać na tych wiadomościach, które zebrał osobiście bądź u pracodawców, bądź u samych robotników. Nie jest

to rzeczą tak łatwą, jeśli się ma do czynienia z pewną gałęzią przemysłu, w której brak jeszcze organizacji. Jakim sposobem zaczerpnąć szczegółów co do wielkości zarobku, ilości robotników, ich potrzeb, warunków pracy czy to hygienicznych, czy to technicznych etc. Rola uczonego zbliża się tutaj do roli pogardzonego reportera. Musi on dopytywać się o adresy, wciskać się natrętnie do domów i zbierać informacje.

Rząd wprawdzie dopomaga w tej pracy. Dość wskazać na stosy materjałów statystycznych, wydawanych przez rozmaite komisje, na sprawozdania ankiet pod kierunkiem urzędników państwowych, na tysiączne kwestjonarjusze dotyczące dziedzin przemysłu i handlu rozsyłane na wszystkie strony. W chwili bieżącej specjalna ankieta zajmuje się badaniem drobnego przemysłu w Niemczech. Chodzi głównie o to, czy nie należałoby roztoczyć nad tym przemysłem opieki prawnej podobnie jak nad przemysłem wielkim a także jakie ten przemysł drobny ma w ogólności szanse rozwoju na przyszłość.

W naszych stosunkach byłaby to rzecz niesłychana, aby ludzie spełniający swą czynność z ramienia rządu odwoływali się do pomocy organizacji partyjnych, wrogich temu rządowi. Tutaj jednakowoż tak jest. Nad tą samą kwestją pracuje także ankieta z łona organizacji socjalno-demokratycznej. Radca i profesor uniwersytetu odsyła do tej ankiety wszystkich, którzy o ankietę rządową nie mogli się zaczepić, ponieważ wszystkie działy pracy były już rozebrane.

Dla nas szczególne ma znaczenie wykształcenie społeczne i polityczne. Galicja należy do krajów w Europie najbiedniejszych i najciemniejszych. Najdłużej była wystawiona na system gospodarki rabunkowej „kulturtregerów“ niemieckich, najwięcej cierpi krzywd i nędzy socjalnej, najbardziej też potrzebuje mądrej polityki społecznej. Niezapominajmy, iż rozwój handlowy i przemysłowy kraju zależy wprawdzie od wielu warunków czy to przyrodzonych czy terytorjalnych czy wreszcie politycznych. Ale nigdy nie obejdzie się bez inicjatywy, bez polityki, świadomej celów i dróg nawet do sztucznego rozbudzenia życia handlowego i ekonomicznego. W pierwszym zaś rzędzie chodzi u nas o zaradzenie ciemnocie i nędzy ludu.

Panienka z okienka.

Wyobraźmy sobie rekonwalescenta, albo człowieka po wielkiem zmęczeniu, który usiadłszy z książką w ręku w wygodnym fotelu, blisko kominka, otula się w miękkie okrycie i z rozkoszą spogląda w okno na szalejącą poza niem śnieżycą. Książka, którą trzyma w ręku, to prosta bajka dziecinna. ale zmęczony umysł z przyjemnością idzie w tropy niewyszukanej akcji i doznaje uczucia naiwnej błogości pod wpływem niby strasznych, niby tragicznych zdarzeń, które jednakże prawie zawsze dobrze się kończą.

Otóż tego samego dodatniego uczucia doznaje współczesny czytelnik wobec „Panienki z okienka“ „starodawnego romansiku“ Deotymy, który ukazał się w wydaniu jubileuszowem nakładem St. Sadowskiego w Warszawie. Takie to proste, naiwne, starodawne w pomyśle i w wykonaniu, że śmiesznem by się nam wydało, gdyby nie — talent autorki i nie to niesłychane zmęczenie duchowe, jakie całe masy społeczne ogarnia po wielkiej chorobie gorączki życia, a które gwałtem domaga się fizycznego i duchowego spoczynku.

A wrażenie owo ukojenia, jakiego dostarcza „romansik“ Deotymy, potęguje historyczne, a raczej archeologiczne tło, jakie mu dała, które odrywa umysł na chwilę od bieżącej chwili i od — tej śnieżycy, która tuż za oknami szaleje...

...Pomiędzy starodawnemi budowlami Gdańska znajdowała się jedna odwieczna kamienica, u której szczytu zwracała powszechną uwagę, w miejscu, gdzie zwykle znajdowało się okienko strychowe, w kamiennym pierścieniu umieszczona rzeźba prześlicznej główki dziewczęcej, w dużej karbowanej krezie, jak z przestrachem w dół spogląda. Z tej to rzeźby Deotyma wysnuła swój „starodawny romansik“.

W domu więc owym, który się zwie „bursztynowym domem“ mieszkał w XVII wieku za Władysława IV. Johann Schulz, rajca miejski sławny mistrz wyrobów bursztynowych, a wdowiec, który w domu swoim chowa śliczną dziewczynę, Hedwigę, zamierzając ją właśnie poślubić. Historja Hedwigi wielce romantyczna. Maleńkiem dzieckiem znalazła ją żona Johana Schulza na rynku lwowskim wśród mnóstwa dzieci, odbitych Tatarom przez Koniecpolskie-

go pod Martynowem, a że po znalezieniu, choć miała pańskie na sobie sukienki, nikt się nie zgłosił, zabrała ją ze sobą i wychowała starannie.

Sytuację komplikuje „czarny charakter“ w postaci Korneliusa, czeladnika Schulzowego, który kochając się tajemnie w Hedwidze, z zazdrośnemi, a nawet krwawemi myślami spoglądа na każdego, co jej miłość by mógł zdobyć. A właśnie zjawił się jeden taki śliczny „Officyjer od wodnej armaty“, czyli od królewskiej marynarki, pan Kazimierz, który mając już powracać do domu na zagon ojcowski, nieszczęściem na pozór, a szczęściem, jak powiada koniec książki, w owem strychowem okienku bursztynowego domu ujrzał twarzyczkę Hedwigi, jak spoglądała na przechodzące ulicą wesele. Nie trudno mu przyszło wkraść się do domu, poznać pannę i dowiedzieć się jej dziejów od pana Schultza. Wysłuchał ich ze zdumieniem najwyższem, bo i on wraz z maleńką siostrzyczką, Krysią, należał do porwanych onego czasu przez Tatarów dzieci. Jego jednakże rodzice odszukali później na rynku lwowskim, ale nie odszukali Krysi. Myślał więc zrazu, że odnalazł siostrę swoją i zwierzył się z przypuszczeniem Schultzowi; wprawdzie rychło rozważył, iż to było nieprawdą. Krysia bowiem musiała być znacznie starszą od Hedwigi, tajemnicę tę jednak zachował dla siebie, aby pod pozorem braterstwa módz częściej widywać „panienkę z okienka“, która mu nie żartem do serca się zakradła. Tak nawiązał się starodawny romansik, w poezji swej rozsiewający woń zasuszonego kwiatu. Nareszcie pan Kazimierz umyślił porwać swoją ukochaną, ale przez jej wahanie się i nieostrożność zakochanych, pan Schultz odkrył zdradę i zamknął Hedwigę na strychu, skąd tylko przez owo kamienne okienko mogła spoglądać na swiat boży. Ale od czegoż pan Kazimierz był officyjerem od wodnej armaty? Otóż w nocy przez strych sąsiedniej kamienicy dostawszy się na dach bursztynowego dworu, po linie, umocowanej do jego szczytu, spuścił się ku okienku, porwał w objęcia Hedwigę, a ześliznąwszy się z nią na ziemię, dosiadł konia i wymknął się za bramy miasta.

Spostrzeżono jednak ucieczkę, puszczono się w pogoń, odebrano Hedwigę, a pan Kazimierz ugodzony kulą mściwego Korneliusza, pozostał zimny, zalany krwią, wśród nocy na odludnej drodze...

Na tym efektownym zgrzycie zakończyłby opowiadanie nowożytny powieściopisarz. Cóż jednak zrobić z upodobaniem publiczności, aby wszystko w powieści dobrze się kończyło, aby szlachetność tryumfowała, a zło było upokorzone? Upodobanie to ma źródło w szlachetniejszych pobudkach ogółu, więc nie można tak bardzo brać za złe autorowi, jeśli mu do pewnego stopnia schlebia. Takiemu schlebianiu zawdzięczają zresztą znaczną część powodzenia swego nawet powieści Sienkiewicza. Takie zadośćuczynienie powszechnej skłonności było niemal regułą w „starodawnych romansikach“, więc i Deotyma go zlekceważyć nie mogła.

Jednak chcąc wszystko dobrze ułożyć, aż zawiele tego dobrego na koniec nagromadziła, niszcząc zupełnie pozory prawdopodobieństwa i nużąc tem czytelnika w drugiej części opowiadania. A więc pan Kazimierz wychodzi z ran śmiertelnych, a Hedwiga w rozdartym, podczas szamotania się pamiętnej nocy szkaplerzu, znajduje dokument, że należy do bogatej rodziny szlacheckiej w Wielkopolsce. Zawiadomiony przez pośredników Kazimierz udaje się tam i trafia na wesele pana domu z dziewczęciem, wziętem ongiś przez jego matkę w miejsce straconej córki z pomiędzy odbitej Tatarom dziatwy. Pokazuje się więc, że to jest naprawdę Krysia, siostra pana Kazimierza, który natychmiast od stołu weselnego zabiera szwagra i jedzie po jego siostrę, a swoją ukochaną. Hedwigę. Kończy się więc wszystko drugiem i trzeciem weselem, pan Schultz bowiem znalazł sobie rekompensatę w osobie pięknej, zalotnej, a mądrej i wyrachowanej wdowy, Flory Korwiczkowej.

Ta skromna i naiwna tkanina przetykana jest gęsto szczegółami archeologicznymi, których zadaniem być ma odtworzenie atmosfery 17 wieku. Z początku nuży nas mnóstwo wspominanych w powieści starodawnych knikenów, altenbasów, passamonów itp. nam niezrozumiałych rzeczy, ale zwolna umysł przyzwyczaja się do nich, jak oko do zmroku w skąpo oświetlonej izbie i wreszcie dobrze nam w tem osobliwem otoczeniu.

Jednak nie tylko dla tego nie nazwaliśmy „Panienki z okienka“ powieścią historyczną lecz archeologiczną. W nowocześnie bowiem pojętej powieści historycznej, przed takimi szczegółami, chodzi o obyczaje opisywanej epoki, o psychologję wieku, w tej zaś psychologja ta jest bardzo szablonowa, dająca się doskonale do każdych czasów przystosować, a historyczność opowiadania polega na owych tylko archeologicznych szczegółach. Za drugi przykład prócz „Panienki z okienka“ takiej powieści w literaturze naszej ostatnich czasów, choć w mniejszym stopniu, możnaby uważać zalecenia publiczności godną „Cudną Mieszczkę“ Gomulickiego, którą wydano niedawno w „Bibliotece wyborowych utworów“, a choćby zbyt surowy krytyk zżymał się, że rodzaj ten nie przypada ściśle do jego normy, „historycznej powieści“, można nie uważać na jego zrzędzenie na podstawie jedynej słusznej zasady, że każda forma i każdy rodzaj twórczości są dobre, jeśli poza niemi stoi talent i jeśli robią zamierzone wrażenie na publiczność.

A niezawodnie da się to powiedzieć o „Panience z okienka“ Deotymy. Bo niebyło jej zamiarem dać ani oślepiającej wspaniałości barw powieści sienkiewiczowskiej, ani wstrząsającego siłą i głębokością utworu w guście Prusa, ale „starodawny romansik“, któryby jak odwar kwiatu pomarańczowego podziałał na rozstrojone nerwy czytelników.

W. Dąbrowski.

Syn Majora.

(Studjum z natury.)

Dalszy ciąg.

Jakie były początki żywota, takie pierwsze zapoznanie się z nauką mojego Józka. A raz postawione na torze, życie to w dalszym ciągu toczyło się tą samą koleją. Podczas gdy Jaś przechodził do trzeciej klasy i z rozjaśnioną twarzyczką, a z wielką pewnością siebie maszerował do gmachu gimnazjalnego — ośmioletni Józek z podwiązanym przy wieczystej fluksji policzku, z podaną naprzód wskutek skrofulicznych gruczołów szyją, dreptał tuląc pod pachą parę książczyn i zeszycik, do panny Agnieszki, niemłodej, rutynowanej nauczycielki. Osoba ta, lat już czterdzieści twardo pracująca w swym zawodzie, wszelkie zawiłe kwestje pedagogiczne załatwiała z zasady zapomocą oślej z papieru korony, czerwonego języka sukiennego, zawieszanego na szyi delikwenta lub łapki zajęczej w drewno oprawnej, która nietylko do oczyszczania kredy z tabliczek służyła.

Och, jak to dziecko szczerze nienawidziło owego czarnego stołu do nauki, przy którym tyle męczeńskich godzin bezpłodnie mu upłynęło, tych żółtych ścian szkolnego pokoju z jaskrawemi obrazami świętych, tych nawet dziur w starej podłodze, które tyle razy w ciągu pokutnego klęczenia miał sposobność wystudjować do gruntu. Lecz przedewszystkiem jak głęboko nienawidziło tych deklinacji, konjugacji, wyjątków gramatycznych lub tajemniczych kombinacji niezbadanych prawideł dzielenia! Jak dalece wszystko to nie miało nic zgoła wspólnego z jasnem słońcem, promieniejącem za oknem, z wesołemi obłoczkami, żeglującemi swobodnie po niebieskiem przestworzu, z pszczółką dzwoniącą nad groszkiem w ogródku panny Agnieszki.

Po trzech latach takich studjów skończył się Józkowi pierwszy okres w pochodzie ku wyżynom wiedzy. W ciągu tego trzechlecia nasłuchał się dostatecznie od nauczycielki, mamy i nawet od tego kpiarza Jasia, o swojej bezgranicznej nieudolności opieszałości, osłowaniu. Powtarzano mu to po kilka razy na dzień, przy okazji i bez okazji. Sąd ten wszakże nie wyrobił w nim wcale odpowiedniej upośledzonemu stanowisku pokory — owszem stawał się hardym, zaciętym, upartym, a byłoby gorzej jeszcze, gdyby nie matka. Chociaż Jaś był dla niej bóstwem, nie była jednak objętną lub świadonie złą matką dla Józka. Pewna czułość charakteru, która zniewalała ją podnosić na ulicy porzucone skomlące z głodu szczenię, lub padające na mrozie wróble, nie dała jej również zamknąć serca przed własnem schorowanem dziecięciem. Jakieś słowo ciepłe, uśmiech lub spojrzenie pieszczotliwe otwierały Józkowi całe niebo szczęścia, tkliwych, rzewnych zachwytów, które odbijały się mu w nagle zamglonem mgłą oku.

Miał już Józek lat dwanaście skończonych, kiedy zdał egzamin do pierwszej klasy gimnazyum. A proszę nie myśleć, aby to rzecz była małej wagi. Nietylko bowiem jest to pierwszy krok, postawiony na drodze, która wyraźnie, już wskazuje kierunek życia, lecz również krok bardzo trudny.

W gimnazjum poczuł się chłopak na innym zupełnie gruncie. Mundur, ścisłość rygoru, koledzy, liczny personel pedagogiczny i ten duch urzędowości, jaki wieje z każdej instytucji rosyjskiej, wywarły ogromne na Józku wrażenie Jakby był sobie powiedział: gimnazjum to nie przelewki; począł bacznie przestrzegać, aby w nauce lub porządku zaniedbania jakiego nie było. A stanowiło to trudność nie małą. Nauki prowadzone tu były tak zupełnie odmiennym trybem, niż było to u panny Agnieszki, wszystkie zewnętrzne atrybuta tak dalece różne, że chłopak długi czas połapać się w tem wszystkiem nie mógł.

Na szczęście trafił na nauczyciela matematyki, który nie tylko lubił swój przedmiot, lecz także nie źle go wykładał. Po paru lekcjach przy których z wytężeniem śledzącemu za wykładem Józkowi zdawało się, że łeb pęknie, otwarło się coś nagle w tym mózgu i chłopak wykrzyknąwszy nagle wielkie: a! wszedł jakby w świat nieznany.

I był to rzeczywiście pierwszy krok w nieznany dlań świat myśli. Odtąd polubił szczerze ten klucz matematyczny, który mu podwoje tego świata otworzył i nauczyciel rachunków

rzadko kiedy miał co do zarzucenia jego pracy.

Nie tak szło jednak z innymi przedmiotami. Powtórzyło się tu mniej więcej to samo, co było przy pierwszem z abecadłem zapoznaniu się. Po paru miesiącach prób wszelakich, gdy te okazały się bezowocnemi, poszedł za radą i przykładem Jasia: począł sumiennie wszystkiego uczyć się na pamięć. Odnosił w tem korzyść dwojaką, doskonałe wyćwiczenie pamięci i zadowolenie nauczycieli.

Tylko — rzecz dziwna, on sam nie był z siebie zadowolony. Ale stało się to już o kilka lat później. Wówczas gdy Jaś najszczęśliwiej i najchwalebniej przy pomocy swego pamięciowego systematu ośm klas gimnazyum ukończył, Józio już w czwartej począł sarkać i wmawiać w brata, że obaj nic zgoła nie umieją i nie rozumieją.

Przechodził wszakże z klasy do klasy corocznie, pracując zwłaszcza przy doraźnych egzaminach, mozolnie. Aż w czwartej, tym najgroźniejszym szkopule dla wszystkich uczniów, nastąpiło fatalne rozbicie się o niemiecki język.

Nie mając znikąd pomocy rady sobie dać nie mógł; buntował się, niecierpliwił, w rezultacie znienawidził język i wykład i nauczyciela.

A uczuł wkrótce, że i nauczyciel nienawidzić go zaczyna. Do, końca roku wywiązała się głucha między nimi walka, w której z jednej strony najwyższa niechęć i niemy bunt niewolnego człowieka, który rozkazy spełniać musi, z drugiej możność szkodzenia i złość obok powagi wyższej pozycyi w grę wchodziły.

Jakoś w końcu roku szkolnego niemiec nie dopuścił, aby Józek Zaliwski do piątej promowany został. Jedynie na usilne prośby nauczyciela matematyki przystał na powtórzenie ponowne egzaminu niemieckiego po wakacjach.

Tak więc zamiast szczęśliwie wypoczywać na wsi musiał Józek w domu z ojcem pozostać i przez najpiękniejsze dni letnie kuć nieszczęsną gramatykę niemiecką. Po usilnej, nazbyt może forsownej pracy, przy pomocy nauczyciela zdołał przejść wszystkie trudności i w ostatnich dniach lipca mógł na dwa tygodnie pojechać do matki, która wraz z bratem bawiła na wsi u krewnych.

Był wielki czas. Pamiętam ów blady cień mizernego chłopaka, zapiętego w szkolny mundurek, z którego wyrósł zanadto. Był to obraz wyczerpania umysłowego i fizycznego zwątlenia mimo rozłożystych ramion i piersi, która widocznie miała zakrój na rozrost wspaniałej budowy. Ale ramiona opuściły mu się bezsilnie, grzbiet się przygarbił i na bladej niby nalanej twarzy odbijały tylko różowe obwódki zmęczonych powiek.

Przez pierwszych dni parę nie widzieliśmy go prawie; przepadał gdzieś po lasach i łąkach, wieczorami w towarzystwie tulił się gdzieś po kątach lub z zaramienia tylko brata wyglądała jego czupryna barwy i pozoru słomianej strzechy.

Zauważyłem wkrótce, że o ile był z rodziną, ciągle zostawał na usługach brata, a często i matki.

Nie spełniał tego z uniżonością, względem brata, owszem nachmurzał się i mruczał niezadowolony, czasem nawet wprost odmawiał, ale dość było jednego słowa lub chociażby wejrzenia matki aby znowu wchodził w swoje jarzmo.

Po dwóch tygodniach wiejskiej swobody, wiejskiego powietrza i bezgranicznego, całym organizmem czerpanego na łonie natury odpoczynku chłopak przeistaczać się począł. Odgięły mu się ramiona, podniosło się czoło, muskularne ręce poruszały się skoordynowanemi harmonijnie ruchami i na usta żywy karmin wystąpił. Gdy tak wracał z lasu, od rzeki, z pola, przyjemnie było spojrzeć na tę twarz młodzieńczą pełną energji i silnej woli, ożywioną wielkiej dobroci uśmiechem, w te oczy siwe błyszczące młodością, a takie już poważne, jakby głębie myśli w sobie taiły. Wówczas twarz ta o nieregularnych rysach stawała się wymowną i pociągającą i niejedno wypieszczone liczko traciło obok niej wszelki swój powab.

Niestety, błogie dwa tygodnie upłynęły zbyt prędko. Trzeba było wracać do miasta.

Pożegnawszy nas wszystkich, gorączkowo jakoś i nieuważnie wskoczył na bryczkę, poprawił się na siedzeniu, czapkę na czoło nacisnął, zauważałam że brwi mu się zbiegły i nie rzuciwszy ani razu za siebie spojrzeniem wpatrzył się przed siebie z myślą widocznie skupioną na jednym przedmiocie.

Zauważyła to i matka gdyż z zaniepokojeniem zawołała po chwili:

— Naprawdę, ten chłopak zwarjuje ze swym niemieckim egzaminem.

Nie zwarjował wszakże, chociaż — egzaminu nie zdał.

Nie składał go nawet wcale.

Kiedy w końcu miesiąca po bezustannej pracy przeciągającej się nieraz w noc do późna obydwa z nauczycielem przyznali sobie zupełną w przyszłości wygraną — korepetytor dla większej pewności pobiegł do nauczyciela niemca, aby ostatecznie o wszystkich szczegółach się wywiedzieć.

— Co? Józef Zaliwski składać egzamin? Naco? do czego bo? Co ja z nim będę robił? On nic nie rozumie, to głupi chłopiec, on dwóch słów po niemiecku powiedzieć nie potrafi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wanda Dalecka.

LILI.

ŻAŁOŚNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy).

Scena była urządzona w końcu tej świerkowej dość długiej alei i wznosiła się nad poziom stajni o całą wysokość antałków, na których Korniszon oparł całe rusztowanie, pokryte od strony publiczności płótnem, pomalowanem na fantastyczny, błękitny marmur, pożyłkowany żółtemi rysami, — nad sceną, przybita do belki, wznosiła się dumnie potężna lira drewniana, oklejona złotym papierem. Czerwone, z wypłowiałego adamaszku wielkie portjery, wypożyczone z bożnicy, stanowiły kurtynę.

— Muzyka, zagrać-no trochę dla rozgrzewki, prędzej będą się zbierać! — wołał Korniszon na kilku żydków, wchodzących z instrumentami pod garderobę. Muzykanci zaczęli chuchać w palce, rozcierać zziębnięte ręce, bo mróz był na dworze siarczysty. Korniszon skończywszy z krzesłami i z nalepianiem numerów, wykadzał stajnie trociczkami, i co chwila pytał afiszera, pociągając nosem z przyjemnością.

— Co? przyjemny fetorek jest?

— Prawda, że un przyjemny jest, ale co od tych kuni, to tyż jest fetor, co un nie bardzo pachnie...

Zakrzewski poszedł za kulisy, nie było tam jeszcze nikogo, obejrzał garderobę, urządzoną za sceną i przedzieloną na dwie połowy. Stołów nie było, ale że były żłoby, przymocowane do ściany, więc przykryto je tarcicami i zamieniono na stoły. Obrał sobie miejsce zaraz przy parawaniku, przylepił świecę do deski, rozłożył szminki i poszedł na scenę; nie chciało mu się ubierać. Wyglądał na salę, nasłuchiwał krzyków przed bramą, to cichego strojenia instrumentów, i myślał, że to ostatni raz w życiu jest w budzie podobnej; przyglądał się tym kulisom z ręczników pozszywanych, tylnej kurtynie, przedstawiającej bogaty salon, zbieraninie mebli, poustawianej na dygocącej podłodze, firankom, przypiętym szpilkami do ślepego okna, obrazom na ścianie, utworzonym z wyciętych ilustracji, które przylepiono do płótna i obwiedziono pasem złotego papieru w miejsce ram. Wszystko było takie nędzne, brzydko łatane, jarmarczne, ale pomimo to — patrzał ze smutkiem i z jakimś żalem niewytłumaczonym, jak się patrzy na rzeczy po raz ostatni, gdy się długo żyło pomiędzy niemi.

Usiadł na swojem miejscu i siedział dziwnie zgryziony i ociężały.

Garderoba zaczęła się napełniać, aktorki za parawanem zaczęły się rozbierać i robić sobie twarze; rząd świec, przylepionych do desek, powiększał się ustawicznie; widział to doskonale przez cienką zieloną ściankę parawanu i słyszał ich przyciszone rozmowy i szmery napływającej publiczności.

Korniszon pozapalał lampy za kulisami i uwijał się po scenie, wciąż jeszcze przyszywał, przyklejał i przybijał, nie był zupełnie pijanym, chociaż co parę minut szedł do hotelowego bufetu na *sznytka*.

Kos z Jańciem charakteryzowali się zawzięcie: Kos pgwizdywał i dawał prztyczki w kark Jańciowi i obiecywał mu spraw ć *gips*, jeśli się sypnie, co zresztą było jego zwyczajem stałym.

Lili jeszcze nie było z matką.

Leon poszedł na scenę i wyjrzał przez portjery na salę: zapełniała się powoli, masa znajomych twarzy migotała w pół mroku; Korczewski uwijał się między krzesłami, wskazywał miejsca, muzykanci rznęli takiego siarczystego mazura, aż konie kwiczały i gryzły się, a galerja przed bramą gwizdała.

Odwrócił się od portjer i spotkał się oko w oko z Lili, która w tej chwili weszła na scenę.

Zatrzymała się na chwilę i przeszła do garderoby bez słowa.

Słyszał później, siedząc na swojem miejscu, jej głos, słyszał szum sukienek. Wybuchała co chwila śmiechem bardzo wesołym, nuciła półgłosem i żywo coś opowiadała Korczewskiej a potem kłóciła się z Szałkowską o puder.

Pomimo zimna, jakie panowało za kulisami, było mu strasznie gorąco: ten głos zalewał go żarem, a każdy dźwięk oderwany zapalał mu w sercu nowe, potężne ognisko.

Nie słyszał nawet, jak Feluś tłumaczył publiczności powody, dla których grać nie mogą „Gniazda rodzinnego“, a zastąpią je „Czułą struną“, „Bibińskim“, Folwarkiem Primerose“ i mazurem w cztery pary. Po zaanonsowaniu rozległy się oklaski: Feluś wrócił do garderoby i gorączkowo ubierał się na Tamerlana w „Czułej strunie“.

Zakrzewski grał w „Bibińskim“ męża, a żonę jego Lili; w „Folwarku“ grał Dżemsa, a Marję także Lili.

— Zaczynamy, na scenę! — krzyknął Korczewski.

Rozległ się dzwonek ostatni, potem klaśnięcie w dłoń, portjery się rozsunęły i zaczęto „Czułą strunę“.

Cisza go nagła ogarnęła i samotność, bo prócz Lili, wszyscy poszli w kulisy patrzeć. Płomienie świec się chwiały od przewiewu, płynącego ze sceny, zalewały go dźwięki piosenek śpiewanych, głosy instrumentów, zapach trociczek, pomieszanych z zapachem stajni i perfum, to znowu brawa, jak salwa karabinowe, ostremi dźwiękami zabrzmiały; ale on nic z tego nie słyszał, bo całą duszą był za para-

wanem, przy Lili; słyszał jej przyśpieszony oddech i szczęk żelazka do karbowania włosów. Spojrzał przez wązką szparę pomiędzy parawanem a ścianą i zobaczył jej głowę; siedziała już gotowa, umalowana, przyczerniona, tylko zafryzowywała swoje burzliwe, niespokojne włosy. Nachylił się lepiej i zobaczył jej twarz, i pomimo szminki ujrzał w niej tyle smutku i znękania, tyle cierpienia, że miłość z dawną siłą zalała mu serce, zapomniał o wszystkiem, co ich rozdzieliło, tylko widział, że ona cierpi bardzo i że musi go kochać. Chciał już zawołać na nią, jak dawniej:

— Lili! kochasz? — I już powstał i odsuwał parawan, gdy akt się skończył i towarzystwo z gwarem napełniło garderobę.

(Dokończenie nastąpi.)

14)

ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

— Twoje szczęście, żeś przez sen wyrzekł jakieś słowo!... Kot był akurat na jednej linji z tym krzakiem i już, już miałem pociągnąć za cyngiel, kiedym posłyszał jakiś szept ludzki.

— Czy to ja spałem?

— Gdybyś nie spał, zastrzeliłbyś ogromnego kota, który tak mi się wydawał, jakby nie miał obu słuchów... No, ale skorom cię nie zastrzelił, to daj gorzałki!

Mówiąc te słowa, Tetera sięgnął do torby strzelca, wyjął flaszkę, wstrząsnął nią i pociągnął parę łyków, poczem rzekł:

— Zapominalski z ciebie, bracie! Nie stawiłeś się wczoraj pod starym lasem, choć taka była umowa... Co prawda, i bez ciebie sobie poradziłem, mam już w domu tę sosenkę, a jutro grabiny mi będzie potrzeba. Upatrzyłem tam sobie trzy sztuki. Przynieś i ty ze sobą toporek, to się prędko uwiniemy.

— Niee! Zawołał głosem przeciągłym Malwa i tak zaziewał, że mu w oczach światełko błysnęło. Tetera uśmiechnął się szyderczo, wziął brata za rękę, wstrząsnął i rzekł:

— Przestańże być mazgajem, bać się wszystkiego: Boga, djabła, ludzi, siebie samego! Mój bracie, Bóg nic ci nie da, djabli cię wezmą, a ludziom trzeba zabierać, co można.

Strzelec wyrwał rękę z ręki Tetery, powstał szybko i zaczął uciekać, a w pośpiechu zapomniał o leżącej na ziemi dubeltówce i flaszce z gorzałką. Kłusownik włożył na ramię dubeltówkę, schował do kieszeni flaszkę, mruknął: „Jakbym znalazł! Niedoczekanie twoje, braciszku, żebyś się jeszcze kiedy zobaczył z tą strzelbą!“ Poszedł w las, a Malwa wybiegł na drogę i, jak szalony, pędził ku Morzelanom.

Niedaleko od wsi dopędził Icia, żyda, handlarza skórek zajęczych, który się skarżył, utyskiwał na ciężkie czasy.

— Cóż robić — mówił Icio — bieda na świecie jest także z woli Boga.

— Brat Tetera takby nie powiedział, on gorszy od tego żyda — pomyślał Malwa.

— A co to znaczy, że pan strzelec nie ma dziś strzelby? — Zapytał Icio, a strzelec uderzył się palcem w czoło i dopiero oprzytomniał.

— Masz tobie! Zostawiłem pod krzakiem dworską dubeltówkę i Jasiek pewnie ją sobie przywłaszczy; a tu dużo zwierzyny na stół potrzeba, od świtu muszę zacząć polowanie.

Wrócił pod las, ale strzelby nie znalazł.

* * *

Rok straszny szaraka stanowiły wszystkie razem wzięte czarne godziny jego życia w różnych epokach doczesnej wędrówki na tym padole płaczu. Zestawiamy tu tylko następujące po sobie wydarzenia, nie zaznaczając, w jakim mianowicie roku żywota to i owo nastąpiło.

Zrażony przez charty do pól morzelańskich, nasz zając wybrał sobie las na miejsce pobytu. Ta cisza z muzyką nieustającego szumu drzew różnych, ma w sobie coś tajemniczo zdradliwego: ona niewoli, ażeby się nieustannie oglądać, nasłuchiwać, obawiać, a niemile brzmi wszelki szmer, który ją zakłóca.

Zmierzch zapada, sowa huka, ciemno, ponuro. Jeżeli się tu przedrze światło księżyca, dodaje tylko ponurości swym kontrastem owym posępnym gąszczom i dziurom.

Już był miał opuścić kotlinę, a trzymała go w niej jeszcze tylko obawa, ażeby ruchem swoim nie zakłócić ciszy, gdyż to może jest niebezpieczne... Ach, jak oni tu chodzą! Żeby odgłos ich kroków słyszeć, trzeba umieć imać uchem szmery spadającego na ziemię pierza i — płatków śniegu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pism i książek.

Kazimierz Pułaski. Szkice i poszukiwania historyczne. Serja druga. Petersburg. Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego 1898.

Druga serja szkiców historycznych K. Puławskiego obejmuje 5 rozprawek, a mianowicie: 1. Z pamiętnika konfederata barskiego; 2. Korespondencje Michała Jerzego Mniszcha, marszałka W. Kor. z lat 1783 do 1790; 3. Uchwały sejmiku wołyńskiego w Łucku 1790 r. Te wszystkie odnoszą się do dziejów panowania Stanisława Augusta — dwie ostatnie zaś do czasów wcześniejszych, mianowicie do XVII w. (4. szlachta

polska w czasie zaboru tureckiego 1672—1699) i do XVI w., tj. 5. Machmet Girej, chan Tatarów perekopskich i stosunki jego z Polską (1515—1523).

Pierwszy szkic, jest streszczeniem pamiętnika, mianowicie „Djarjusza konfederacji barskiej" (zaczęty w r. 1768 d. 5 Martii). Autor djarjusza — nieznany, że jednak nazywa się komendantem milicji kijowskiej z ramienia konfederacji, otóż p. Puławski przypuszcza, że był nim Antoni Loryssa Zdanowski. Treść djarjusza rzuca nieco światła historycznego na losy naczelników konfederacji barskiej w Turcji, na Węgrzech i w Polsce aż do kapitulacji Częstochowy.

Ciekawą jest: „Korespondencja Jerzego Mniszcha", który był marszałkiem w kor. od r. 1783—1793 i gorliwym stronnikiem króla Stanisława Augusta. Wiedząc o jego bliskich stosunkach z królem, udawali się doń najznakomitsi dygnitarze z prośbami o protekcję i informacje polityczne. Marszałek starał się ile możności nie zrażać nikogo — osobliwie w czasie sejmików, które przeprowadzał za pomocą swoich protegowanych po myśli królewskiej, acz nie bez podstępów — a nawet gwałtów. Z sejmików tych — podaje p. Puławski w 3. szkicu „Uchwały sejmiku wołyńskiego w Łucku r. 1790", tj. z czasów sejmu czteroletniego. Sejmik wołyński należał jednak w swym składzie do szeregów opozycji przeciw zmianom konstytucyjnym, to też w uchwałach jego widzimy niejako przedsmak Targowicy. Dla sejmikującej w Łucku szlachty istnieje jeden zasadniczy dogmat, tj. całość szlacheckich przywilejów i ich obrona. Wskutek tego sejmik odrzucił propozycyą elekcji za życia króla, jako sprzeciwiającą się „wolności" stanu szlacheckiego. Z tego samego powodu zastrzega się przeciw rozszerzaniu swobód politycznych dla miast, natomiast uchwalił, że „posłowie starać się będą, by władza dziedziców nad poddanymi wsi i miast nienaruszoną została". Wybitnie klasowe stanowisko szlachty wołyńskiej nie jest wcale zmodyfikowanem nawet wobec kościoła, bo z jednej strony zastrzega się sejmik przeciw rozszerzeniu „tolerancji dla dyssydentów", ale też równocześnie daje posłom na sejm instrukcję wyraźną „dopominać się, aby w krajach naszych żydzi od aręd karczem odłączeni nie byli". — Co ciekawsza, że cały ten egoizm społeczny ubrany jest tutaj w sukienkę szlacheckiej demokracji, bo „możnowładztwo krajowi tak ogólnie, jako i w szczególności szkodliwe..."

Losy wywłaszczonej przez najazd turecki szlachty podolskiej 1672—99 są przyczynkiem do wojen Sobieskiego z Turkami, zresztą nie przedstawiają dla historji wielkiego interesu naukowego. Ciekawym jednak jest „dodatek" do tego szkicu, tj. pieśń z czasów panowania tureckiego na Podolu, którą autor zapisał r. 1891, słysząc ją z ust ślepca lirnika przy karczmie — o parę mil od Kamieńca.

Ostatni i chronologicznie najwcześniejszy szkic pt. „Machmet Girej, chan Tatarów perekopskich i stosunki jego z Polską 1515—1523" ma dla dziejów polskich znaczenie ogólniejsze. Jestto ciekawy ekscerpt z stosunków dyplomatycznych Polski z Ordą perekopską i jeszcze jeden dowód, że Orda ta wyzyskiwała chytrze zawikłania i wojny polsko-moskiewskie, i że naodwrót hegemonja w krajach nadczarnomorskich zależała od wpływu na tatarszczyznę. W XVI. w. wpływ Polski jeszcze przeważa, później jak wiadomo — zajęła miejsce Polski — Moskwa i powoli zdążała do opanowania brzegów Morza Czarnego. Dr. K. J. G.

Jan Witort: Zarysy prawa pierwotnego. Warszawa: nakładem redakcji „Głosu" 1899.

Najnowsza praca, znanego polskiego etnologa p. Witorta — może być uważaną za podręcznik naukowy dla etnologji porównawczej i zarazem za wstęp do socjologji w zakresie „prawa pierwotnego"

„Prawem pierwotnem" nazywa autor te normy prawa zwyczajowego, które spostrzegamy w t. zw. ustrojach wspólnot rodowych aż do czasu, kiedy wspólnoty owe zaczynają się przetwarzać w „państwa" — w socjologicznem tego słowa znaczeniu. W 12. rozdziałach swej pracy omawia p. Witort najdawniejszy stan społeczny wspólnot, o ile wogóle takowy da się dzisiaj z przeżytków zwyczajowych u ludów nieucywilizowanych, poznać; następnie zaś przechodzi do ustroju rodowego— rozwiniętego już ewolucyjnie, z t. zw. hordy pierwotnej. Wychodząc z zasady, że w ogólnych zarysach podścielisko ekonomiczne jest źródłem rozwoju „prawa pierwotnego" — omawia autor najpierw gospodarczy stan wspólnot rodowych i podnosi słusznie, że najpóźniej rozwinęła się indywidualna własność ziemi. Złączona z wspólnotami gospodarczemi t. zw. familja grupowa, opierająca się na względnym bezładzie płciowym—przetwarza się w miarę ekonomicznego przetwarzania się wspólnot — na rodzinę macierzystą lub ojcowską-patryarchalną. Obok podścieliska gospodarczego — wpływają na tę przemianę warunki zewnętrzne, np. wojny, z których wyrasta w łonie pierwotnej równości społecznej— władza czasowych naczelników. Od tej chwili władza ta wzrasta, przeobrażając się stopniowo w dożywotnią i dziedziczną. Równocześnie widzimy powolną indywidualizację wspólnej własności — aż wreszcie ostatnia staje się regułą społeczną z ustrojem „państwowym", scentralizowanym mniej lub więcej w ręku uprzywiljowanych kast: kapłańskiej i wojowniczej, — otaczających dawnych naczelników wojennych, przemienionych w książąt lub królów. Naturalnie, że taka zasadnicza zmiana — decyduje o całej dalszej ewolucji „prawa pierwotnego"; zmienia się mianowicie prawo pierwotne spadkowe i wogóle cywilne, także karne, którego źródeł należy szukać w pierwotnej zemście rodowej. Taką jest krótka treść cennej pracy p. Witorta, która powinna się znaleść w ręku każdego człowieka, dla którego nazwa „nauki społecznej" nie jest wyrazem martwym. Nader ważne, zasadnicze znaczenie — ma także wstęp do pracy o „prawie pierwotnem". Jestto krótki stosunkowo, ale nader ściśle i krytycznie ujęty szkic metodologiczny z zakresu porównawczej etnologji, przyczem autor wykazuje różnice między metodami: historyczną a porównawczą, stosowaną dzisiaj w badaniach etno- i socjologicznych. Dr. K. J. G.

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.